

Z BLISKA...

Nie jestem mówcą, raczej bazarzem wywleczonym ze starej szafy z negatywami, dlatego ograniczę się do kilku luźnych obserwacji-aluzji, jakie poczyniłem w toku obrad jury tego szacownego konkursu. Ostateczna zbieżność naszych ocen-opinii nie była może uderzająca, ale wystarczyła do wypracowania rozsądnego kompromisu, pomiędzy zauważalnym niedoborem w zróżnicowaniu podejścia, a samego zasobu podejmowanych tematów. To w połączeniu z wymuszoną panicznym syndromem wirusa, monodominacją wątków medialnych, wytworzyło swoistą zaporę w ich bardziej kreatywnym, indywidualnym poszukiwaniu. Nie oczekiwaliśmy życia na krawędzi, osobistego upadku autora, w tropieniu lawiny ikonicznych fotodramów, czy choćby epickich reportaży lokalnych fotografów, wprost z pierwszych frontów światowych konfliktów oraz pogłębionych analiz psychologicznych ofiar kataklizmów naturalnych i ich tragedii. Nie o to (tu) chodzi, by podążać na krańce poznawalnego świata, by opisywać jego "kondycję ludzką" efektownym ujęciem banalnych sytuacji, przekonywać, że mogą zaciekać, zasługiwać na wyróżnienie uwagi tylko dlatego, że powstały np. na tajskim targowisku czy w warsztacie prowincjonalnego zegarmistrza, że było się tam celowo, że nasza wersja zmienia coś na płaszczyźnie szerszej wypowiedzi. Trudno zrobić "dobre" zdjęcie bez tematu, ale jak często trudniej jest go nie stracić. Dlatego fotografia nie zmienia świata, ale jedynie wartościowo go wzbogaca, dopowiada. W pogodzeniu się z tym prostym faktem sprzyja sprawiedliwa doza szczerzej pokory, która skłania do formułowania bardziej oryginalnych koncepcji, bez potrzeby wysadzania się granatem na własnym wernisażu, kiedy meta temat życia dzieje się w naszych własnych mieszkaniach, ale pozostaje mentalnie nieprzetwarzalny na poziomie przestrzeni intymności przesłań uniwersalnych, do tego formalnie wymagający czy wprost ryzykowny, jak dokumentalna archiwizacja na oddziałach ratunkowych szpitali zakaźnych...

To był dziwny, dotkliwie odmienny, ale jak zawsze ciekawy rok. Jego interesujące odzwierciedlenie, odnaleźliśmy w bujnym zapisie zdjęciowym lokalnych reporterów. Wiemy, co musieliśmy poświęcić i z czego zrezygnować, w swoim przydziale strat; perfidny wirus brutalnie spłaszczył afekt osobistych dociekań i dokumentalnych utrważeń, ale nawet takie ograniczenie nie musi oznaczać rezygnacji. I to udało się zobaczyć, oszacować, docenić i zapamiętać.

Osobiste rozczarowanie, poczucie frustracji i ukłucie w okolicy splotu słonecznego, to tylko nie pogodzone z sobą Ego, które nieustannie domaga się uwagi, pragnie się wyróżnić, zadowolić ciężko realnego siebie i równie masywny urojony wszechświat wewnętrzny. To wszystko są ważne elementy osobowej ewolucji, jej rozpiętości, jednak Ego należy poskramiać surowością pokory, natychmiast, gdy tylko pojawia się chciwie zawłaszczając wartościowanie, roszcząc i moszcząc sobie tronik, dopominając się uznania własnych (niedokonanych jeszcze) artystycznych zasług dla kultury i lokalnej części ludzkości. Ego to mały diabeł, demon któremu trzeba zabrać widły. Ego przekłamuje wykres ekspozycji emocjonalnej, wzmacnia niecierpliwość, wypala piętno nierealnych ambicji i samouznania, jest też fałszywym probierzem samooceny i pożywką dla dalszych odkształceń. To po prostu trucizna, dlatego w każdym (to przerzutnia, Pulitzer wciąż trzyma się nieźle) konkursie zawsze pojawiają się zdjęcia, które w pierwszej chwili wchodząc do pokoju „obrad” uznajemy za obraz testowy, odtwarzany do kalibracji monitora, a ono następnie niezrozumiale i surrealistycznie pojawia się po godzinie w kategorii X gotowe do autopromocji.

Zdjęcia nie przepowiadają przyszłości, nie mogą natchnąć nas nadzieją – to nie szczepionka, jest wprost przeciwnie, ale czasem się zdarza, że przekaz, czy choćby tylko ich atmosfera, mogą mieć walor emocjonalnie dodatni, nawet jeśli dotyczą sprawy trudnej, niepoznanej, niechcianej. Na tle monolitycznej ściany – fali zdjęć protestów, tchnących atmosferą wzajemnej wrogości i ulicznych konfrontacji, rozproszonego społecznego napięcia, obrazy o dodatnim ładunku emocjonalnym stanowiły przyjemną, wprost wymaganą odmianę. To dobre wrażenie przełożyło się na konkretne wyniki. Doceniliśmy zgodnie czysty, jasny przekaz, szczerą prostotę i świeżość podejścia do opatrzonych zdjęciami historii. Syndrom przesytu środków nie omija nikogo, dlatego nie dało się uniknąć litanii efektownych, ale niewiele wnoszących powieleń; jeśli pokazujesz coś banalnego, cyklicznego, np. procesje Bożego Ciała, ente prowincjonalne zloty fotoklubów w dniu poświęcenia ich aut, musisz to zrobić tak, jak nikt tego dotąd nie pokazał, lub bez żalu poniechać wtórności, nie kalkować.

Jest taka fotografia, dziwna w swojej ciekawości, która nie jest „moja poznawczo”, nic nie wnosi do mojej osobistej encyklopedii obrazowania zdjęciowego, nie wyczuwam i nie przyswajam jej potencjalnych niuansów, te historie nie interesują, nie wypalają się w neuronach hipokampu, przepadają w pustce niepamięci. Może jest tak dlatego, że powstają pod przymusem jakiegoś wewnętrznego oportunistycznego nakazu. Każdego roku oglądamy nowe wcielenia „śmiesznych fotek” znanych, najlepiej kontrowersyjnych polityków, niezawodne litanie bożychciał (czytać razem!), prowincjonalnych zegarmistrzów, poklatkowe serie żużlu (chodzi o dyscyplinę sportu), onirycznych ros na pajęczynie krzyżaka mordercy, etc, itp. Choć każdy wie, bo już widział, że należy unikać dosłowności, banału, nadłożeń i odleżyn, że trzeba działać szybko, ale niespiesznie, myśleć selektywnie w trakcie zdjęć i podczas finalnej edycji, cyzelować, ale bardziej spójnie i celowo, z początkiem, rozwinięciem i podsumowaniem. Mimo tych oczywistości nadal mamy rzuty z dysków, redundacje i terabajty pustych przebiegów, czy też bajkowe rykowiska jeleni szlachetnych.

Czepiam się, ale w dobrej sprawie. Nie chodzi mi nigdy o patrzeć z góry – to nie przynosi nic dobrego, nie pouczam, pragnę jedynie wskazać potencjalne tropy myślowe, podeprzeć możliwość przybliżenia się do wspólnego celu fotografów: dzielenia się obserwacją, namysłem i fascynacją nad światem, informowania... Chcę zmotywować „korekcyjnie”, ale i wskazać starczem okiem szersze pole widzenia, zachęcić do podjęcia bardziej zdeterminowanych, krytycznych wysiłków, głębszych przetworzeń, unikania płytkiego, konformistycznego naśladownictwa. Sceptycyzm jest ożywczy, odświeża krew i widzenie, skłania do kwestionowania tez mitycznych autorytetów. W zdrowym sensie nie pozwala ufać nikomu, tak w „czuciu”, jak i własnym rozumieniu świata, otoczenia, jakie za pośrednictwem medium fotografii postrzegamy.

Nigdy nie kategoryzuję zdjęć na „złe” czy „dobre”, nie rozumiem w ten sposób, nie wiedziałbym, co to znaczy. Rozróżniam je raczej na te, które da się lub trzeba wykonać i takie, których historie warto zapoznać, pokazać – po prostu czasami temat jest „lepszy” od zdjęć, czasami odwrotnie. Ale za każdym razem okazuje się, że musimy starać się tak samo mocno, wspierani dozą nieprzebranego szczęścia, żeby nie tylko zobaczyć, ale i pokazać coś interesującego do tego jeszcze ciekawie, inaczej. Dlatego nie wystarczy „zdobyć przyczółek” i znaleźć frapujący wątek, trzeba się jeszcze „okopać”, mieć plan, cel, dobry pomysł – to nie wszystko.

Nie ma sensu mówić o poziomie konkursu; to pojęcia dla mnie tyleż abstrakcyjne, co tchnące nieświeżym tonem protekcyjnego kaowca. To oczywiste, że był zróżnicowany, wprost rozłożysty, tak pod względem formalnym, jak i zawartości, metafizycznych bebeczków. Ujrzeliśmy prawdziwy kalejdoskop styli, mód i przyzwyczajzeń, wrażliwych poszukiwań, wnikliwych obserwacji, wytworów kompulsywnego nawyku podpatrywania, ale też i zwyczajnej grafomanii, sypania piaskiem po oczach.

Wszyscy jesteśmy jacyś: jedni mają nadwyżkę hormonów ego, inni cierpią na niedoczynność poczucia spełnienia, trzeci... paleta emocji lśniła barwnie niedosięgniętą tęczą różnorodnych pomysłów, od „szalonych” po zgoła nowatorskie. Na szczęście festiwal fototechnicznych sztuczek z użyciem kontrolowanego oświetlenia pierwszego planu, bez kontroli, nie przytłoczyły nadmiernie, nie poczyniły wielkich szkód, choć przyznać trzeba, że były krótkie momenty, w których bieguny moich okularów lekko się przemagnesowały, a z oczu odpływała krew i limfa, tak, że chwilami widziałem już tylko to, co było trzeba. (...) Jeśli jesteś zbyt ostentacyjny, tchnie to fałszem, lepiej jest więc z uprzedzeniem zredukować bilans własnych omyłek, niż wciąż popełniać cudze błędy. Żaden talent nie jest niczym niezwykłym, skoro każdego dnia tyłu go marnuje, rozdrabnia na przypodobanie manierom cudzych odkryć. Zanim staniemy się fotodokumentalnymi kaszalotami, musimy wpierw w skromnym popłochu rozpełznąć się po zdjęciowej dżungli, uważnie smakując powietrze i ucząc się, stale w walce o przetrwanie własnego głosu i krótkiej obecności, skromnego świadka istnienia tego nielogicznego świata, w jego bardziej rodzimym ujęciu. Tylko garstce uda się powiązać swój los i byt ze środowiskiem pracy zawodowców, wymagającym nieustannie zróżnicowanej stymulacji. Zastanówmy się, co nas skłania do ewolucji i resztę odrzucimy. Trzeba pokazać sprawy tak, żeby nie dublować machinalnie cudzych „projektów X”, ale je zmieniać, rozwijać w nich własny, oryginalny punkt widzenia, nie podpatrywać a widzieć. Ten oportunistyczny tryb poszukiwania doświadczeń porzucić, bo może on powodować upośledzenie, oślepienie, polegające na samopowtarzalności, klatkowości, czyli klatce z ości kłującej w oczy metodą estetycznych knyfów, podpatrzeń, anonimowych replikacji. Odwodzi to w końcu od naturalnej potrzeby różnicowania źródeł bodźców i inspiracji, powoli spycha z kursu osobistej ewolucji. Niektórzy jedynie dryfują wygłodniali po zdjęciowych mieliznach, podczas gdy inni wołają aktywnie patrolować terytorium łowów na otwartych wodach szerokich horyzontów tematów. Ważne jest w jednakowym stopniu zrozumienie, jakie zdjęcia robić i jakich wykonywania unikać. Dotarcie do tego, jak to osiągnąć, zajmuje resztę życia.

Życie toczy się nieprzerwanie, a jego ślady odkładają się żyznym osadem w archiwach szerokich rzeszy foto-

grafów, jak sedymenty rzeczne, nieprzebadane jeszcze archeologiczne artefakty, wciąż zapełniające muzealne magazyny. Gwiazdy niektórych z nich błyszczą stabilnym promieniowaniem powolnej, ale stałej ewolucji, światła innych wydają się bardziej rozproszone, przypominają rozmyty pióropusz komety. Przeszłość nigdy nie zmartwychwstanie, ale dzięki „fenomenowi” fotografii możemy ją wciąż odtwarzać z pulchnego katalogu bezbłędnej pamięci zdjęciowego wszecharchiwum miejscowych „ciał niebieskich”.

Jedną uwagę muszę wypowiedzieć głośno: zakrawa dla mnie na kuriozum lub na przejaw jakiejś odmiany pychy, a może fałszywej skromności, imitowanie zdjęciowego „cyklu-zestawu” trzema niepowiązanymi kadrami. Warto wykorzystać regulaminowy limit zdjęć w pełni lub selektywnie ograniczyć się do jednego, świadomego wyboru. Gorsze od tego jest jedynie nie „opatrywanie” (termin semantyczno/kliniczny) własnych, ciężko wydreptanych zdjęć, najskromniejszym dopełnieniem cienia komentarza, jest to pozbawianie się szansy na choćby symboliczne nakreślenie ich podmiotowego tła. Zupełnie niepotrzebna autoeliminacja w pierwszej rundzie. Sądzę, że kilka propozycji mogłyby awansować dalej, wzmocnić poziom? Niestety już się nie dowiemy, bo ich nie zapamiętamy... Zdjęcia są może asemantyczne, ale ich opis nigdy, dlatego trzeba umocować kontekst obszaru słowem, bez niego rozumienie treści, traci sprawność, zawisa w abstrakcie dociekania. Takie, porzucone nie opisaniem przypadku, byliśmy zmuszeni z żalem z góry odrzucać.

Nieodżałowanie boleję również nad niedostatkiem kategorii klasycznej, w katalogu fotograficznego arsenału dokumentu, mianowicie „Portretu”. I tu ponieśliśmy straty i mimo prób adaptacji do formalnych wymogów regulaminu, nie udało się w kilku przypadkach jednogłośnie uzasadnić przeniesienie zdjęć do bardziej stosownej podgrupy i dalszego ich kwalifikowania. Jest to przeszkoda formalna i mnie też trudno się do niej przystosować, bo od zawsze brakowało tu kategorii z tego obszaru wypowiedzi. Ale to jest temat organizacyjny, jakby wewnętrzny, mnie niepoznany, choć uporczywie podnoszony. Żałuję mocno strat poniesionych na tym polu, ocaliliśmy co było można, jednak liczne formalne niedopatrzienia uczestników uniemożliwiły zastosowanie opcji alternatywnych.

Żadna fotografia, nawet „najlepsza” nie zmienia świata, nie czyni lepszym, ale jedynie wartościowo go wzbogaca, dopowiada. W pogodzeniu się z tym faktem sprzyja sprawiedliwa doza szczerzej pokory. Rzeczą kolejną niemożliwą do pominięcia, okazała się dla mnie kwestia sprawności w użyciu edycji zdjęciowej, która jest ważnym narzędziem przekazu, nie tylko warstwy emocjonalnej, ale całościowego rozumienia i interpretacji analizowanych treści. Najsłabszym elementem wewnętrznego opracowania materiałów, okazała się jednak nieuporządkowana, chwilami chaotyczna struktura narracji. Uwidoczniła się na tym tle spora nonszalancja w traktowaniu tego zagadnienia. Dziwi to nieco, zważywszy na fakt, że problem przejawia postać chroniczną i w równym stopniu dotyka wciąż zarówno dojrzałych, jak i tych, nieco mniej ukształtowanych, aspirujących autorów.

Fotografia nie jest też profesją, zawodem, nie uczymy się jej na uniwersytetach, ale na ulicach, w naturalnym środowisku pracy reportera. Fotografia nie jest sztuką a fotoreporter artystą – niczego nie stwarza, raczej zrzuca skalp z rzeczywistości innych ludzi, często obcych mu światów, do których zagląda, jako kronikarz codzienności, odnotowując ciągłość skadrowaną częścią abstraktu jej metafizycznej zawartości. Usłyszeć to jedno; zobaczyć, znaczy wiedzieć, móc samodzielnie rozumieć, analizować; potrzeba tego jednakowo, by poznawać świat, jak i go opowiadać, co jest nadrzędną rolą zdjęcia. Życie jest serialem newsów, paradoksem, chaosem wynurzonym z przeminięć, mgnień, niepowtarzalnym, ale możliwym do zatrzymywania w energii kadru. Nie wiem, czy to obecność czy ledwie jej przywołanie, albo może tylko autonomiczny ciągły samoapis, ale właśnie tak czuję fotografię. Fotografia spleta pamięć z wyobraźnią, scala włókninę czasu niezatartą pamięcią zdjęcia.

Zapomnijcie o obiektywizmie, po prostu musicie nam (jak zwykle od 20 lat) zaufać; analogicznie, jak przy ocenie, tak przy wykonywaniu zdjęć polegamy na intuicji, doświadczeniu i łucie szczęścia, na nie też musimy się zdać i na różnice zdań, bo z nich wyłania się wspólny, szerszy ogląd i choć niekoniecznie nieomylny, uniwersalny, to jednak zawsze jakoś pożytecznie odmienny, wzajemnie pouczający. Tak było podczas przyswajania kolejnych porcji zdjęć z kolejnych kategorii tematycznych. (...) Nie zgadzam się ze wszystkimi nominacjami, werdyktami, tytułami, ale otwarcie wyłożywszy odmienności poglądów w ramach swego skromnego udziału w charakterze sędziego liniowego, z 96 procentową czystością sumienia podpisuję się pod opublikowanym werdyktem i ten rozkład, dystrybucję „wag i mas” pochwalam. Zapewne niektóre z podjętych tematów będą kontynuowane, lub eksploatowane na nowo, niektóre po prostu się powielą, zduplikują, nazwiska ich autorów być może się powtórzą, ale wszystko to będą już zupełnie nowe historie wzbudzające w nas tę samą, niezaspokojoną ciekawość.

To była niewątpliwie najprzyjemniejsza i najbardziej owocna foto edycja zdjęć jaką wykonywałem od pewnego czasu i do tego nie własnych. Dobre, pouczające doświadczenie, które wzbogaciło moje/nasze jurorskie widzenie i rozumienie historii najbliższego świata. Nadesłane fotografie pokazały, jak ważne jest by szczerą motywację przekuć w pożyteczny wynik pracy ulicznego łażęgi, by entuzjazm i zachowanie wciąż świeżego podejścia do niej wzmocnić twardą determinacją i konsekwencją w dążeniu do obranego celu. Działanie na oślep nie wiedzie do konstruktywnych wniosków.

Życie to światła i cienie, to wzloty i upadki, raj i czyściec, emocjonalne czernie, biele, szarości i tęcze, wszystko, co widać, co bezwstydnie odtajniono na zdjęciach, co udało się na nich pokazać. Płaski płat dwuwymiarowego zdjęcia ogarnia wiele, spaja teraźniejszy moment odtwarzania wspomnień z jego dokonanym widmem, zaprawionym treścią przeszłych skojarzeń na nowo, jak echo odbite od odległych i wciąż oddalających się zdarzeń. Dwoista konfiguracja tradycji przeszłości i awangardy, niepoznanej dali horyzontu czasu, który dopiero się nią stanie. Udział w tym konkursie, niejako z jego przeciwległego końca, był dla mnie raz jeszcze po 16 latach, bardzo wartościowym doświadczeniem i stanowi cenną naukę, umożliwiając, inaczej nieosiągalnie bliski wgląd w dorobek najbliższych towarzyszy fleszy, kliszy i matryc... Wyobraźmy sobie na koniec tych wywodów, o ile uboższe byłoby rodzime świadectwo humanizmu i czasów, które go kształtują, gdybyśmy nie mogli ujrzeć, zobaczyć Z BLISKA, z czego składa się nasza własna lokalna tożsamość, gdybyśmy nie mieli fotografii... Szczerze zachęcam do wnikliwego zapoznania się z unikatowym, skromnie przez nas zauważonym fragmentem dorobku lokalnych dokumentalistów.

Życzę dużo zdrowia i szczęścia, dziękuję za uwagę!

Tomasz Reiss